

Adam Michnik poleca korespondencję Grydzewskiego i Wierzyńskich

NIEPRZYSTAWALNE GATUNKI POLAKÓW

Kazimierz, pełen dobrej woli, w jednej z pierwszych paczek z Ameryki przysłał nam słoik maści na katar.

Maciej Wierzyński*

Kazimierz Wierzyński to mój stryjeczny dziadek, ale w rodzinie mówiło się o nim „stryj”, a częściej po prostu – Kazimierz. W Polsce jestem jego najbliższym żyjącym krewnym. I to jest usprawiedliwienie, dlaczego lekkomyślnie zdecydowałem się podjąć zadanie omówienia czterech grubych tomów korespondencji Mieczysława Grydzewskiego z Kazimierzem Wierzyńskim i jego żoną Haliną. Te cztery tomy listów to rezultat blisko 50 lat przyjaźni Wierzyńskiego, poety, z Grydzewskim – redaktorem pisma, w którym drukował wiersze. A także wynik wielu lat pracy dwojga niezwyklej ludzi, entuzjastów nieco zapomnianej twórczości mego stryjecznego dziadka. Ci ludzie to prof. Beata Dorosz z Instytutu Badań Literackich i Paweł Kądziera z „Więzi”. Ta dwójka zna biografie i twórczość obu autorów listów lepiej ode mnie. Ja jednak miałem okazję kilkakrotnie spotkać się z jednym z nich osobiście, a fakt, że noszę to samo nazwisko, kilkakrotnie zdecydował o moich życiowych wyborach.

We wstępie Dorosz i Kądziera piszą: „listy pisarzy emigracyjnych stanowią wstrząsające świadectwo wielkiej samotności, nostalgii, upokarzającej miserie finansowej i związanego z nią poczucia deklaszacji, są dramatycznym wołaniem o pomoc, szukaniem oparcia i zrozumienia”.

Skupię się na najbliższych mi wątkach rodzinnych i – z racji własnych doświadczeń – na stosunkach kraj – emigracja.

W połowie lat 60. Anna Iwaszkiewiczowa, żona Jarosława, tak pisała do Grydzewskiego: „Wy w ogóle nie macie żadnego prawa sądzić o czymkolwiek z naszego życia”.

Była to reakcja na jakieś złośliwości pod adresem Iwaszkiewicza drukowane w gazetach emigracyjnych przy okazji uroczystych obchodów 70-lecia urodzin zorganizowanych na cześć poety przez władze w Warszawie. Według Anny Iwaszkiewicz ludzie, którzy nie mieszkają w Polsce, nie mają prawa oceniać kogokolwiek, kto w Polsce mieszka. Między tymi dwoma gatunkami Polaków – mieszkającymi w Polsce i wychodźcami – według niej nie ma szans na zrozumienie.

Iwaszkiewiczowa pisała to w 1964 r., kiedy konflikt między gotowymi do współpracy z władzą ustanowioną przez Moskwę i ludźmi, którzy pozostali poza krajem i czuli się depozytariuszami zachodniej, demokratycznej kultury, był ciągle żywy.

Moje pierwsze wrażenie z lektury tych czterech tomów było właśnie takie: porozumieć się trudno, bo mamy za sobą in-

ne doświadczenia i fałszywe wyobrażenia o sobie. Tak było i w naszej rodzinie. Kazimierza mieliśmy za szczęściarza, który dobrze wybrał, na emigracji nieźle mu się wiedzie i nie ma pojęcia, jak ciężko żyje się w Polsce. On zaś bardzo martwił się o nasz los, szukał sposobów, by nam pomóc, ale nie wiedział, czego najbardziej nam trzeba.

List Anny Iwaszkiewicz oznaczał zerwanie wieloletniej przyjaźni Grydzewskiego, redaktora „Wiadomości”, z małżeństwem Iwaszkiewiczów. Jarosław był prominentnym członkiem grupy poetyckiej Skamander. Natomiast o Grydzewskim skamandryci pisali żartobliwie jako o swoim „herszcie”. Była w tym ironia, ale i prawda o niezwyklej związku wielkich poetów z wybitnym redaktorem i wydawcą.

List jest też kwintesencją nieporozumienia między najbliższymi przyjaciółmi wynikającego z innych perspektyw i doświadczeń.

Na przełomie lat 40. i 50. te różnice koncentrowały się na decyzjach o powrocie do Polski bądź pozostaniu poza krajem. Wynikały z odmiennych sympatii politycznych albo z różnego spojrzenia na sprawy społeczne. Często też ze złudzeń.

Skamandryci to Lechoń, Iwaszkiewicz, Tuwim, Słonimski i Wierzyński. Dla Tuwima i Słonimskiego, znanych z sympatii lewicowych, powrót do kraju i podjęcie współpracy z władzą zainstalowaną przez komunistów był decyzją stosunkowo łatwą. Mieli nadzieję, że bliskie im ideały znajdą przy nowej władzy szanse na realizację. Wierzyński i Lechoń złudzeń w sprawie komunizmu nie mieli.

Sympatie Grydzewskiego powinny być raczej zbliżać go do Tuwima i Słonimskiego, ale przeważały chyba względy praktyczne i przywiązanie do dzieła życia, jakim były dla niego „Wiadomości”. W powojennej Polsce nie było szans na kontynuowanie formuły pisma niezależnego. Iwaszkiewicz próbował kontynuować formułę Grydzewskiego, ale rezultaty nie były zachęcające. Władza domagała się afirmacji i ją egzekwowała.

Wśród skamandrytów Iwaszkiewicz zajmował miejsce osobne. Lata wojny jako jedyny spędził w Polsce, w niezłych – jak na tamte czasy – warunkach materialnych. Tę pozycję ryzykował jednak, heroicznie czyniąc ze swego domu w Podkowie Leśnej ośrodek działalności konspiracyjnej. W jego domu ukrywali się Żydzi.



• Jeszcze dobre czasy: Kazimierz Wierzyński w Londynie, rok 1928

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Po wojnie z jednej strony wysługiwał się władzy, opływał w zaszczyty, ale zarazem kierowana przez niego „Twórczość” była pismem na najwyższym poziomie i schronieniem dla wielu pisarzy jawnie przeciwstawiających się władzy.

Lektura korespondencji pokazuje, jak ludzie różnie patrzyli na swój los. W naszych kontaktach rodzinnych też dawało się to odczuć i po latach dostrzegam, ile było w tym niezrozumienia i uproszczeń. My w Polsce uważaliśmy tych z Zachodu za wybrańców fortuny żyjących bezpiecznie i dostatnio. Nie mieliśmy pojęcia o upokarzającej sytuacji uchodźcy vegetującego wśród tysięcy podobnych wygnańców.

List Iwaszkiewiczowej do Grydzewskiego kończy się dramatycznym oświadczeniem: „Chciałabym wiedzieć, że Pan list mój otrzymał, ale żadnej odpowiedzi sobie nie życzę”; „życzę, żeby Bóg Panu wybaczył grzechy w godzinie śmierci, a oszczerstwo to jest bardzo ciężki grzech”.

Nim wypowiedziała te słowa pełne patosu, wcześniej padły zdania małostkowe: „po obliczeniach musieliśmy wyrzec się marzenia o założeniu centralnego ogrzewania”. Autorka listu najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że dla uchodźców własny dom, nawet bez centralnego ogrzewania, był niedościgłym marzeniem.

Pamiętam, że Kazimierz, pełen dobrej woli, w jednej z pierwszych paczek przysłał nam słoik maści na katar. Ten prezent z Ameryki przez wiele lat był w rodzinie symbolem niezrozumienia różnic naszego położenia.

Ojciec mój zapewne do końca życia uważał życie Kazimierza na Zachodzie za godne zazdrości. Ja pojąłem smutek emigracji, dopiero kiedy sam zakosztowałem życia w obcym kraju, mimo że sytuacja uciekiniera spod komunizmu, która wyrzuciła mnie na amerykański brzeg w 1984 r., była nieporównanie lepsza od losu emigranta powojennego. Znaliśmy przecież wszystkie złe strony opuszczonej ojczyzny, wiedzieliśmy, czym jest realny socjalizm i uczucie nostalgii tak powszechne wśród wojennych uchodźców nigdy nie było moim udziałem.

Tymczasem Kazimierz tęsknił potwornie, a świadczy o tym i jego twórczość poetycka, i listy wymieniane z Grydzewskim. W jednym stawia rozpaczliwe pytanie: „Czy my tam kiedykolwiek wrócimy?”.

Nie wrócili, za to uniknęli moralnych łamańców, których pełno było w naszym krajowym życiu, a życie Iwaszkiewiczów jest te-

go świetnym przykładem. Jarosław w dzienniku z niesmakiem wyraża się o jubileuszu, który wyprawiła mu władza: „W lutym uroczystości jubileuszowe w gruncie rzeczy potwornie przykre (...) wszystko takie dęte, niepotrzebne, okropne”.

Na koniec listu do Grydzewskiego Anna Iwaszkiewicz pisała z nutą moralnej wyższości: „My też mogliśmy opuścić kraj”. Mogli, ale nie opuścili. A przecież zrobili tak nie tylko z poczucia narodowego obowiązku. Także dla wygody.

Kazimierz gratulował Grydzewskiemu listu od Iwaszkiewiczowej. Pisał: „Winszuję Ci listu od Hani”, bo szef „Wiadomości” nie omieszkał się nim przed poetą pochwalić: „w liście zwymyślała mnie od ostatnich”. Widać, że nie bardzo się wymysłami prze-

wał o losie Grzegorza rzeczowo: „o moim małym bratanku (...) nadeszła wiadomość, że miał wyjechać z końcem kwietnia [1946] w transporcie czterystu dzieci do Szwajcarii (...). Chciałbym go sprowadzić do nas”.

Starania o sprowadzenie Grzegorza trwały przez następne siedem lat. Te lata spędził pod opieką surowej szwajcarskiej ciotki, której przedtem właściwie nie znał. Tymczasem dla nas Szwajcaria oglądana zza żelaznej kurtyny, z gruzów powojennej Warszawy, wydawała się rajem na ziemi. Grzegorz jednak Szwajcarii dobrze nie wspomina.

Zachwycony był za to Kazimierz. Melodował Grydzewskiemu: „Grześ już jest w Szwajcarii. To dziecko stało się dla nas sensem życia. Myślę, że w ciągu pół roku uda się go sprowadzić tutaj”.

go roku 1958 lekko poirytowany Kazimierz przypomina Grydzewskiemu, że „Grześ jest naszym synem. Odebrać mu ten charakter, to urazić go najbardziej. Adoptowaliśmy go przed laty”.

Grzegorz adopcyjnych rodziców nie zawiódł. Jako dziennikarz pracował w tygodnikach „Fortune” i „Time”. Był szefem Radia Wolna Europa, którego legendarna Polska Rozgłośnia była częścią. Kiedy w 1981 r. tygodnik „Time” ogłosił Wałesę Człowiekiem Roku, był autorem znakomitego cover story.

Z Kazimierzem spotkałem się po raz pierwszy w 1964 r. w Paryżu. Spotkaliśmy się potem jeszcze dwa razy we Włoszech, chyba w latach 1966

Kazimierz Wierzyński: „Jeśli emigracja nie będzie utrzymywała związku z krajem, pozostaje jej tylko jedna droga – w orszaku pogrzebowym na cmentarz”

jął. I to chyba jest miara wzajemnego oddalenia.

W pierwszych trzech tomach korespondencji obejmujących lata 1920-57 odnajduję echa decyzji, które pokazują, jak moja rodzina, krok po kroku, dzieliła się na gałąź polską i amerykańską. Te decyzje dotyczą przede wszystkim wyjazdu z Polski bądź powrotu.

Próbowaliśmy wyjechać i my. Ojciec, po powstaniu, wyzwolony przez Amerykanów z oflagu w Murnau, trafił do armii Andersa; chciał nas ściągnąć do Włoch. Jedyne, co się powiodło, to wyluskanie z Polski mego rówieśnika Grzegorza – przyrodniego brata ojca. (Dziadek mój, a ojciec Grzegorza, zmarł w obozie na Majdanku, matka nie przeżyła tułaczki po upadku powstania warszawskiego).

Osieroconego Grzegorza udało się wyekspediować z Polski w 1946 r. Nikt go o nic nie pytał. To, że jako siedmioletnie dziecko zmieniał kraj, język, kulturę, widziane z Polski wyglądało na szczęśliwe zakończenie dramatycznej bajki. W liście do Grydzewskiego Kazimierz Wierzyński informo-

nie udało się. Szwajcarski przystanek Grzegorza zamienił się w trwający kilka lat dziwny stan zawieszenia. Dopiero w marcu 1953 r. Kazimierz pisał: „Kochany Mietku, 10-go przyleciał Grześ, co wywołało u nas istną rewolucję. Skończył 14 lat. Mówi tylko po francusku, zapomniał po polsku. Ludzi zdobywa sobie łatwo. Garnie się do nas. Halina jest szczęśliwa”.

Dziś takie przeżycia nazwalibyśmy nieuleczalną traumą wymagającą przepracowania pod opieką psychologa. Ale dla mojej mamy była to historia, w której Grześowi mogły zdarzyć się już tylko przypadki szczęśliwe. Tak myśleliśmy i my, dzieci z pokolenia Grzesia, moja siostra i ja. Gdziekolwiek jest, na pewno wie, że mu się lepiej od nas: ma lepsze zabawki i na pewno jest po lepszej stronie świata.

Dopiero lektura korespondencji Kazimierza z Grydzewskim uświadomiła mi, jak egoistyczne było nasze odczuwanie. W 12 miesięcy po przyjeździe do Ameryki, czyli latem roku 1954, Wierzyńscy formalnie adoptowali Grzegorza. W liście z lute-

i 1967. To pierwsze spotkanie to był chyba jeden wieczór.

Dzieliło nas wszystko: wiek, doświadczenie, miejsce zamieszkania, nie mówiąc o pozycji społecznej. Na Zachodzie byłem pierwszy raz i Zachód na przemian mnie onieśmielał albo przyprawiał o zazdrość, a Kazimierz był obywatelem świata. Autorem tłumaczonym na rozmaite języki, jednym z tych niewielu Polaków, których dorobek sięgał poza Polskę. Wydawnictwo Simon & Schuster wypuściło właśnie jego biografię Chopina z przedmową Artura Rubinsteina. Wprost promieniował od niego osobisty urok. Ja zaś byłem początkującym dziennikarzem zatrudnionym w nie tak wiele znaczącej wówczas w Polsce „Polityce”.

Kazimierz, co bardzo mi pochlebiali, natychmiast zarządził, bym mówił mu „ty”, zaprosił do knajpy na kolację. To nie była żadna elegancka restauracja, upiliśmy się tanim chyba winem i było nam bardzo wesoło. Może nawet zbyt wesoło – byłem za młody i za głupi, by zrozumieć rozterki poety emigranta.

Myszę, że także dziś funkcjonuje w zbiorowej wyobraźni fałszywy obraz wychodźstwa. W tamtych czasach było to jeszcze dodatkowo spotęgowane przez propagandę przypisującą emigrantom zdradę narodową, wysługiwanie się obcym mocarstwom i „pójście na lep” za judaszowe srebrniki.

Czesław Miłosz pisał w pożegnalnym numerze paryskiej „Kultury”:

„Zostać emigrantem znaczyło spaść w towarzyskiej hierarchii. Ogłosić się antykomunistą było po prostu nietaktem. Wspominam o tym, bo odpowiada to prawdzie, choć nikt już nie chciałby się do tego przyznać”; „wydostając się z Polski, wziąłem na siebie obowiązek walki, ale to nie znaczy, że wierzyłem w zwycięstwo. Emigracja stawiała się symbolem niebytu, co miało wpływ obezwładniający”.

A myśmy w Polsce tym ludziom zazdrościli ich losu. Kazimierz dobrze te dylematy rozumiał. Zresztą na tym właśnie tle dochodziło do sporów z innymi uchodźcami. Dotyczyły stosunków między emigracją a krajem. Mimo że przecież emigracja była wrogiem imperium, pod którego władaniem Polska cierpiała.

Wspominając ucieczkę na Zachód, Miłosz napisał: „Imperium miało wszystko po swojej stronie: wygraną wojnę, miliony w łagrach, kontrolę nad połową Europy i kontrolę nad umysłami w drugiej połowie, pieniądze na propagandę, dobrze opłacany aparat policyjny i szpiegowski. Dzisiaj trudno sobie wyobrazić rozmiary triumfu tego państwa”.

Wśród emigrantów wyraźne było stopniowanie w przyswajaniu tej wiedzy. Kazimierz Wierzyński wśród skamandrytów był zaliczany do niezłomnych. Wolny był jednak od złudzeń, spierał się z Grydzewskim: „Przestrzegam Cię przed ideowością, za którą kryje się intrygantwo, skleroza i brudy”; „należy pamiętać, po cośmy tu zostali”. I pytał „Po to, by pomagać narodowi, czy po to, by wytrwać po bohatersku w bezczynności?”.

Na tym tle w 1961 r. doszło do zerwania współpracy Wierzyńskiego z „Wiadomościami”. Powodem była notatka o Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku (PIASA). Instytut szukał sposobów wspierania tego, co nazwalibyśmy dziś kulturą niezależną. Spór dotyczył pytania: jak to robić, nie uzależniając się od totalitarnej władzy?

Wierzyński zarzucał „Wiadomościom” demagogię, kiedy oskarża kierownictwo instytutu o wypełnianie życzeń Warszawy. Stał na stanowisku, że akcja pomocy „musi być unormowana, tak jak unormowane są rozkłady jazdy, taryfy pocztowe albo podania o wizę. Można nie uznać tego punktu widzenia, ale wtedy jest tylko jedno wyjście – nie udzielać stypendiów i odrzucić pomoc amerykańską. Uważałbym to za błąd niewybaczalny”.

Kazimierz tę opinię wyraził jeszcze dobitniej, pisząc na marginesie tego sporu do Stanisława Strzetelskiego: „Uważam, że jeśli emigracja nie będzie utrzymywała związku z krajem, pozostaje jej tylko jedna droga – w orszaku pogrzebowym na cmentarz”.

Osoba Strzetelskiego odegrała w moim życiu ważną rolę. Poznałem go osobiście w roku 1964, kiedy jako szef niewielkiej fundacji Wandy Roehr, pomagającej rodzącej się właśnie w Polsce kulturze niezależnej, odwiedził Polskę i przywiózł dla mnie list od Kazimierza.

Dostałem wezwanie „na Rakowiecką”. Tak w potocznej polszczyźnie nazywano policję polityczną, czyli Służbę Bezpieczeństwa. Była ona częścią wielkiego aparatu MSW. MSW mieściło się – i mieści nadal – przy ulicy Rakowieckiej.

Rozmawiał ze mną cywil, który przedstawił się jako Boński i zaczął od tego, że ostatnio widywałem się z amerykańskim szpiegiem. Przyznaję, że się lekko wystraszyłem. Ale dalej nie wiedziałem, o co mu chodzi. Wtedy Boński wyjaśnił mi, że o Sta-

■
*Miłosz:
„Zostać emigrantem
znaczyło spaść
w towarzyskiej hierarchii.
Ogłosić się antykomunistą
było po prostu nietaktem”*

nislawa Strzetelskiego, pracownika Wolnej Europy.

Boński wyszedł na chwilę do sąsiedniego pokoju i mogłem przyjrzeć się, co ma rozłożone na biurku. Wśród papierów były zdjęcia pokoju w Hotelu Europejskim, a na tych zdjęciach otwarta walizka Strzetelskiego. Pomiędzy papierami, na hotelowym stole, leżał list od Kazimierza Wierzyńskiego zaadresowany do mnie.

Boński wyszedł po to, żebym zrozumiał, że wszystko o mnie wie. Chodziło o to, żeby odpowiednio mnie przestraszyć. A następnie złożyć propozycję współpracy.

Oczywiście propozycja połączona została z pogrózką, że jeśli się nie zgodzę, to nie dostanę paszportu. Powiedziałem, że do współpracy się nie nadaję. I na tym się skończyło. Spotkanie zbagatelizowałem, sądziłem bowiem, że była to rutynowa próba rekrutacji młodego dziennikarza obracającego się w różnych środowiskach interesujących bezpiekę.

Dopiero lektura korespondencji Wierzyńskiego z Grydzewskim nasunęła mi myśl, że mogło być zupełnie inaczej. Że Rakowiecka zainteresowała się mną dlatego, że na nazwisko miałem Wierzyński, plany MSW dotyczyły innego Wierzyńskiego – a ja miałem być elementem większego propagandowego zamierzenia: sprowadzenia Wierzyńskiego do emigracji do Polski. Gdyby wrócił, byłby to dowód, że najbardziej zatwardziali emigranci zrozumieli wreszcie, że nie należy sprzeciwiać się bieżącej historii.

Późniejszy mój szef w tygodniku „Kultura” Janusz Wilhelmi, człowiek wykształcony i odcytany, cytował w sytuacjach takich Ewangelię, przypominając: „nie będziesz walczył przeciw ościeniovi”. Kazimierz, wedle oczekiwań bezpieki, jako stęskniony za krajem młodszy poeta, do tego zmęczony polityczną jałowością sporów wśród wychodźstwa, doszedł do realistycznego przekonania, że nie warto „wierzczać przeciw ościeniovi”. Jego stanowisko w sprawie współpracy PIASA ze środowiskami kulturalnymi w Polsce dawało władzom w Warszawie nadzieję, że ulega wdziękom realnego socjalizmu pokropionego jeszcze narodowym sosem.

Słowa, że odcięcie od kraju prowadzi na cmentarz, pobudziło – to moje domysły – funkcjonariuszy od kultury i emigracji do działania. Nieporozumienie polegało na różnym rozumieniu słowa „kraj”. Czy kraj to działacze Towarzystwa Polonia powołanego do uwodzenia „polonusów” sentymentem do płaczących wierzby? Czy też kraj to naród opierający się aksamitnej, ale jednak przemocy, przez szukanie oparcia w najwyższych rejestrach polskiej kultury, bez przykrawania jej do aktualnych potrzeb politycznych? A trzeba pamiętać, że w tym czasie trwała ofensywa partyzantów, frakcji narodowych komunistów dostrzegających zyski płynące z kokietowania akowców, przypomnienia majora Hubala i mruganiu przyem do antysemitów nie tylko partyjnych. W takim czasie sklonienie Kazimierza do przyjazdu byłoby nie tyle jakim sukcesem.

Zbliżał się rok 1968, propaganda partyjna odwoływała się do najniższych instynktów drzemiących w społeczeństwie. Tak, poeci czasem objawiają dar jasnowidzenia. Kazimierz pracował nad nowym zbiorem wydrukowanym w „Kulturze” pod tytułem „Czarny polonez”. Znalazł się w nim wiersz „Zawracanie głowy”,

a w nim takie dwie linie: „Podnieśliśmy służę./ Chlusnęło narodem”. „Czarnym polonezem” Kazimierz awansował z pozycji przemilczanego poety do rangi wroga publicznego numer jeden.

Moja sytuacja – pracownika frontu ideologicznego, a takim przecież byłem, noszącym to samo rzadkie nazwisko, co jeden z arcywrogów władzy – gwałtownie się skomplikowała.

Do tego czasu udawało mi się robić dziennikarską karierę bez wypierania się stryjecznego dziadka występującego regularnie w Wolnej Europie. Witold Filler – formalnie kierownik działu teatralnego w warszawskim tygodniku „Kultura”, piśmie, w którym po odejściu z „Polityki” pełniłem funkcję sekretarza redakcji, uznany specjalista od politycznych zadań specjalnych – wyprodukował broszurę zatytułowaną „Literatura malej emigracji”, wydaną przez MON.

Znalazło się w niej spostrzeżenie, że Kazimierz Wierzyński „zszedł z cokołu, by uczestniczyć w ataku na własny naród”. W „Żołnierzu Wolności” zaś napisali, że Kazimierz „opłuł wszystko co polskie”, a Filler dowodził, że „jeśli kiedyś zdawało się, że istnieje przepastna różnica między ludźmi typu poety Wierzyńskiego i ludźmi typu autora kupletowych rymowanek w »Freies Europe« Mariana Hemara – teraz taka różnica przestała obowiązywać”. Filler broszurkę wręczył mi osobiście i chyba nawet napisał na niej dedykację.

Janusz Wilhelmi zaś, mój szef, w roku 1969 uczcił śmierć mego stryjecznego dziadka tekstem zatytułowanym krótko „Wierzyński”. Ten nekrolog był szczytem eleganckiej dwuznaczności – specjalności Wilhelmięgo. Jeśli chciał ofiarę zdeptać, aby przypodobać się zwierzchnictwu, nie używał prymitywnego języka propagandy, sięgał po chwytły bardziej wyszukane, ale tym bardziej bolesne. Jak choćby pełne obłudy słowa: „Umarł pokonany. Te wiersze czytałem ze współczuciem”. Tekst kończył się zdaniem: „Z perspektywy jego klęski, tym większy wydaje mi się smutek tej dalekiej śmierci”.

Protekcjonalny ton słysząc było w każdym zdaniu. I triumfalny zarazem. Bo Wilhelmi dobrze wykalikował, że przelknę każde świństwo, które napisze. Nie wiedział jednak, że ustawia mnie na drodze prowadzącej do rozstania się z dziennikarstwem w PRL-u. Bo przez wszystkie lata czułem surowe spojrzenie Kazimierza Wierzyńskiego oceniające moje postępowanie.

Współpraca z paryską „Kulturą” dostarczyła zmartwień nie tylko mnie. Nie pochwalał jej także Grydzewski. Korespondował z Haliną Wierzyńską, która w tej wymianie listów uczestniczyła od zarania. Halina pracowała jeszcze przed wojną w „Wiadomościach Literackich” i przyjaźniła się z Grydzewskim. W życiu Kazimierza Wierzyńskiego odgrywała kluczową rolę, nie tylko muzy, ale również sekretarki, księgowej i wydawcy. Tak przynajmniej zapisała się w naszej pamięci – resztek rodziny w Polsce.

I to nie jest żaden przypadek, że ta korespondencja ma trójkę autorów: Mieczysława Grydzewskiego oraz Kazimierza i Halinę Wierzyńskich. To właśnie do Haliny, jeszcze w 1962 r., kierował Grydzewski pytanie o współpracę Kazimierza z „Kulturą” Giedroycia: „Czy on ma zamiar w dalszym ciągu uprawiać »samobójstwo literackie«. »Kultura«, mimo wszystkich swoich zalet, nie jest miejscem do ogłaszania wierszy, które w niej giną. Jedynym miejscem jest pierwsza strona »Wiadomości«”.

Kazimierz odpowiedział na to: „Drukuję w »Kulturze«, bo bardziej mi odpowiada jej stosunek do spraw krajowych niż Twój i »Wiadomości«, a także z tego powodu, że Twoje stanowisko i akcja przeciw Instytutowi nowojorskiemu wywołała we mnie głęboki uraz”.

Na zakończenie Kazimierz wyraża nadzieję, że ich dawna przyjaźń przezwycięży bieżące kontrowersje. „Może historyk zwycięży redaktora, a przyjaciel złego polityka i jakoś to się ułoży. Dziękuję Ci za pi-

smo. Ściskam Cię i życzę Wesołych Świąt. Kazimierz”.

W liście tym Wierzyński informuje też Grydzewskiego, że pragnie wycofać się z jury nagrody „Wiadomości” także i dlatego, że „nie zamierzam już nigdy zasiąść przy jednym stolem z Józefem Mackiewiczem”. Jak dowiadujemy się z przypisów, Mackiewicz powtarzał plotki, jakoby Kazimierz Wierzyński zamierzał wracać do Polski, by tam „stanąć na cokole”.

Czy zamierzał wrócić? Myszę, że nie. Sądzę natomiast, że tęsknił bardzo. Świadczy o tym jego poezja. Jednak losy wielkich powracających: Slonimskiego, Stanisława Mackiewicza, Wańkowicza musiały przywracać przytomność umysłu nawet największym marzycielom. Z kolei ci wielcy, których nowy ustrój zastał w Polsce, albo jak Tuwim czy Broniewski wcześniej dołączyli do budowniczych nowej rzeczywistości, pozostawili po sobie świadectwa, które woleliby ukryć. To też była przestroga.

W czerwcu 1964 r. sytuacja Slonimskiego po podpisaniu Listu 34 zaniepokoiła dawnych przyjaciół, także tych, którzy jak Wierzyński i Grydzewski nie przebiegali w słowach, krytykując jego wybory. Grydzewski pisał do mego stryjecznego dziadka: „Mam wiadomość, że Antoni potrzebuje pomocy”. Kazimierz odpowiedział: „W lipcu jedź do Polski ktoś zaufany, przez kogo spróbuję porozumieć się z Antonim. Gdybyś przedtem dowiedział się, że można posłać – daj znać”. Slonimski dziękował przyjaciołom, a Kazimierz pisał do Grydzewskiego: „List Antoniego wzruszający. Cieszę się, że sprawiliśmy mu przyjemność”.

Żegnając Kazimierza tuż po jego śmierci, Jarosław Iwaszkiewicz pisał w „Twórczości”: „Był równie piękny, jak za czasów młodości, może jeszcze piękniejszy: nic ze starca, a wszystko z dojrzałości i wielkiej gorczy emigracyjnych doświadczeń. Mówił mi przykre rzeczy, ja jemu też. Myszę, że ten jednolity, piękny, żywiołowy i jakby rudymernarny człowiek, który nie miał wrócić ciałem do ojczyzny, powinien do nas wrócić duszą – to znaczy swoimi utworami, które zbyt mało są znane w kraju”.

Koleje losu tych ludzi, przecież tak odmiennie, dają nadzieję, że myliła się Anna Iwaszkiewiczowa. Sugerowała, że różne gatunki Polaków nie mogą się ani zrozumieć, ani porozumieć. Nie wykluczałbym jednak, że wszyscy oni należeli do jakiegoś innego, lepszego gatunku Polaków. ●

*Maciej Wierzyński

• ur. w 1937 r. dziennikarz, publicysta. W PRL-u pracował m.in. w latach 1965-80 w „Kulturze”, a od maja 1980 r. w Telewizji Polskiej; po 13 grudnia 1981 zwolniony. W 1984 r. wyemigrował do USA, gdzie założył pierwszy polskojęzyczny kanał telewizyjny. W grudniu 1989 r. wrócił do Polski. W latach 1992-2000 szef Polskiej Sekcji Głosu Ameryki w Waszyngtonie, 2000-04 naczelny nowojorskiego „Nowego Dziennika”. W latach 2006-19 prowadził w TVN 24 magazyn „Horyzont” poświęcony sprawom międzynarodowym.

Mieczysław Grydzewski, Kazimierz i Halina Wierzyńscy, „Listy” (z lat 1920-69), t. I-IV, oprac. Beata Dorosz, Paweł Kądziała. Instytut Badań Literackich, Warszawa 2022.



Cały tekst: Wyborcza.pl/magazyn